5. Kwietnia. **Nr. 23.** 1868 roku.

Wychodzi w **niedzielę**, z dodatkiem **muzykaljów, mód, wzorów i krojów.**

Cena:

kwartalnie . . . . 1 złr.
półrocznie . . . . 2 „
rocznie . . . . 4 „

Z dodatkiem:
kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. Za przesyłkę pocztową dolicza się 15 ct. kwartalnie.
Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

pismo tygodniowe
z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie w drukarni **Kornela Pillera.**

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

PO MORZU ŚRÓDZIEMNEM.

Obrazy z podróży

przez J. T.

IV.

Zwykłem miejscem naszej przechadzki wieczornej było tak zwane *Piccolo campo*. Jest to mały placyk, albo raczej szeroka ulica, mająca z jednej strony domy, z drugiej cmentarze tureckie staczające się ku Złotemu rogowi i cyprysami zasiane. W dzień, *piccolo campo* jest pustem; słońce tu pali niezmiernie i każdy woli się schować do wąskich, zacienionych a przeto i chłodniejszych uliczek. Za to wieczorem *campo* ożywia się przyjemnie: przyległe kawiarnie, w dzień szczelnie chroniące się od słońca, otwierają naoścież drzwi swoje ku nocy i rozstawiają na placu pod gołem niebem marmurowe swoje stoliki. Mężczyzni i kobiety ze świata europejskiego rozsiadają się przy tych stolikach i piją chłodne napoje, podczas gdy muzyka w środku umieszczona przygrywa wyjątki z oper lub inne powszechnie ulubione sztuki. Powietrze jest roskoszne, świeże, pełne rosy, więc kapelusze spadają z głowy, i czoła z roskoszą kąpią się w tej powietrznej kąpieli. Zdaleka dolatują odgłosy jeszcze krzątającego się przedmieścia, a z dołu od jarów, od cmentarzy tureckich czuć lekki powiew, niosący zapachy róż i cyprysów.

Szczególnie piękny widok wieczorny na *picolo campo*, pamiętam miał miejsce w wigilję świętego Jana. Była to dla mnie wielka niespodzianka spotkać się z Sobótkami na ziemi tureckiej, na gruncie udeptanym przez najróżnorodniejsze żywioły narodowe. Kto ten zwyczaj przechował? jest że to zabytek czysto-słowiański? czy może wspólny Słowianom i starożytnym mieszkańcom północnej Grecji? zostawiam rozstrzygnienie tych pytań badaczom starożytności — i wracam do widoku tego wieczora.

Na każdem bardziej swobodnem miejscu, na bocznych uliczkach, omal że nie na głównej ulicy Pery rospalano ognie. Stare kosze, trzaski, zużyte naczynia drewniane rzucano gorliwie z sąsiednich domów na ogień, niecony przez chłopaków. Ale nigdzie nie buchały tak potężne płomienie jak koło *piccolo campo* na pochyłości, przez cmentarze tylko zaludnionej, a wiodącej ku zatoce Bosforu. Noc była bezksiężycowa, ciemna, więc ognie występowały wyraźnie na tle czarnem. U góry kończyły się ognisto ciemną grzywą dymu, która rosła dalej słupem ku niebu, ale ten słup sterczał już w zupełnej ciemności, czasami tylko oświecany silniejszem buchnięciem płomienia. Dokoła ognia wesołe grono chłopaków krzątało się naprzód dla coraz to lepszego wydobycia płomienia, a potem połaczywszy się za ręce pląsało dokoła ogniska. Po tych pląsach nastąpiło przeskakiwanie przez płomień, co stanowiło największą uciechę młodzieży. Każdy skok niezręczny był witany hucznym śmiechem i pobudzał innych do tem zręczniejszego i bystrzejszego skoku. Kiedy na jednem miejscu przygasał ogień, przenoszono się na drugie, i drugie ognisko rospalano, i znowu na czerwonem tle płomieni krzątały się i pląsały czarne postacie żwawych i ruchliwych chłopaków.

Tam gdzie jest *piccolo campo* (małe pole) tam musi być i *gran campo* (wielkie); przynajmniej tak jest na stambulskiem przedmieściu. Z *gran campo* piękny widok na Bosfor i port Złotego rogu. I tu pamiętam jeden wieczór ze szczególnie okazałym widokiem. Było to w rocznicę koronacji sułtańskiej: Stambuł iluminował się, jak mógł, i główna ulica Pery była jako-tako oświetlona. Zato wojenne okręta tureckie i zagraniczne stojące w porcie umiały się ogniem ozdobić. Wieczorem gdy już gruby zmierzch zapadł, rospłonęły ogniste okręta na Bosforze, wszystkie bowiem maszty, liny w całej ich długości, za — równo jak i inne główne kontury i linje okrętowe ubrano w lampy. Każdy z tak płonacych okrętów miał pod sobą odbicie swoje w źwierciedle spokojnego Bosforu. Każdy z tych okrętów wysilał się na puszczanie jak najświetniejszych ogni sztucznych, co niezmiernie bawiło różnorodną publiczność, zgromadzoną na *gran campo*.

Ale rzućmy ognie sztuczne, których główną zaletą jest to, iż tak prędko gasną, przez co nie zdołają obrzydnąć ostatecznie!

Gran campo leży już na końcu przedmieścia. Za niem rozpoczyna się wieś w całem znaczeniu tego słowa. Wybraliśmy się tam kiedyś z Mackiem i z kimś jeszcze na przechadzkę. Wieczór był bardzo miły, ciepły, cichy i pogodny, choć obłokami nakryty. Szliśmy krętą drożyną między jarami staczającemi się w dolinę, w pośród cyprysów, swawolnie przez wiatr rozsianych. Okolica była bardzo malownicza, i nic tu nie zdradzało sąsiedztwa miljonowego miasta. Było nam bardzo dobrze po wyrwaniu się z tego wiecznie ruszającego się mrowiska, i nikt z nas nie myślał o prędkiem zawracaniu do miasta.

Może po godzinnej wędrówce spostrzegliśmy willę, schowaną pomiędzy drzewami, i jakoś tajemniczo z po za nich wyglądającą. Podeszliśmy do niej blisko. Na małym dziedzińcu pod cyprysami stało kilka ławek, i jednemu z wędrowców przyszła myśl szalona, że to może jest wiejska kawiarnia, w której będziemy mogli napić się kawy i odpocząć. Odparliśmy z Mackiem natychmiast to przypuszczenie, gdyż nic tu wcale nie zdradzało, aby ta willa miała być publicznem miejscem. Przeciwnie głęboka cichość i zupełna samotność panowała na dziedzińcu i dokoła

niego, a okna pałacyku zakryte były żaluzjami. Jednakże coś nas ciągnęło do środka, pod cyprysy, intrygowała nas tajemniczość i samotność willi, i nie potrzebowaliśmy wiele namysłu, aby wejść do środka, nie zdając sprawy po co, i na co? Usiedliśmy na ławach kamiennych pod cyprysami, obok kunsztownie wyłożonej sadzawki, z której środka kolumna kwiatów strzelała w górę. Przed nami stał pałacyk tajemniczo zamknięty, dokoła nas zaklęta cisza ciągle panowała. Byłem dziwnie rozmarzony tą tajemniczością i zdaje się, że podobnych wrażeń doświadczali moi towarzysze, kiedy nagle otwarły się drzwi boczne pałacyku, i wyszedł ku nam Turek przyzwoicie odziany i zapytał: czego sobie życzymy, czyli inaczej: czem może nam służyć? Nie rozumiałem nic po turecku, nie zrozumiałem zatem i tego pytania; tymczasem moi towarzysze, z którymi Turek prowadził rozmowę, kazali podać kawę, i byłem mocno zadziwiony, gdy z tego tajemniczego budynku wysunęła się ku nam taca z trzema filiżankami mocnej, gęstej, czarnej tureckiej kawy.

Była to zuchwałość ze strony moich towarzyszów tak się rozgospodarowywać w cudzej willi, ale ponieważ lepiej odemnie znali miejscowe obyczaje, więc przyjąłem tę ich zuchwałość jako fakt dokonany, i posunąłem się nawet dalej na tej drodze, bo zażądałem k a l j a n u. Kaljanem nazywa się fajka turecka z długim kręconym cybuchem, w środku którego jest naczynie szklanne z wodą; przez to naczynie musi dym przechodzić, zanim do ust się dostanie. Chciało mi się zabawić w Turka i użyć wszelkich roskoszy tureckiej s i e s t y. Podano mi k a l j a n natychmiast, ale ponieważ palenie nie szło mi dobrze, zamieniałem go na cygaro. Paliliśmy cygara, popijaliśmy zwolna kawę i milczeliśmy.

Są chwile i miejsca, gdzie żywo prowadzona rozmowa, chociażby o bardzo zajmujących przedmiotach sprawia wrażenie skrzypienia drzwi, albo skrobania po szkle paznokciami, lub czegoś podobnego, co do głębi podrażnia zmysł słuchu i przejmuje mimowolnem oburzeniem całą istotę ludzką. Takiemi chwilami dla mnie są chwile bezpośredniego przestawania z przyrodą, kiedy jej szept staje się wyraźnym i zrozumiałym dla ucha mojego, i powoli przechodzi z oderwanych melodyj i dźwięków w jedną potężną, choć cichą harmonję. Wtedy rozmowa ludzka prowadzona mi nad uchem, staje się dla mnie nie wypowiedzianą męczarnią, od której nie wiem jaką ceną gotów byłbym się wykupić. Pamiętam raz przebytą tego rodzaju męczarnię na morzu. Na okręcie miałem kilku znajomych, z których jeden na moje nieszczęście był wielkim entuzjastą, i (jak to się zwykle zdarza entuzjastom) bardzo rozmownym. Był to jeden z najcudniejszych wieczorów morskich jakie pamiętam. Na pokładzie panowała cisza zupełna, więc słychać było tylko cichy szmer, w harmonję rosnący zmrokiem nakrytego morza, i pieszczotliwe całowania wieczornej fali lekko o boki okrętu trącającej. Stałem na pokładzie oparty o krawędź poręczy, i zasłuchany całkiem w morskiej idylji. Wtem — (niech mu wszyscy bogowie przebaczą!) wtem nad głową moją rozległ się potężny głos gardłowy, i posłyszałem zwrócone do mnie słowa: »Nieprawdaż, panie Józefie co to za prześliczny wieczór? Czy uważa pan jaki jest przyjemny szmer fali?« I tu nastąpiła cała kaskada zachwycań się i uniesień, które były dla mnie kaskadą zimnej wody na rozgrzaną głowę wylanej. Kiedym powstrzymał wybuch oburzenia, które mną wtedy owładnęło, zwróciłem się jak mogłem najspokojniej do nieproszonego towarzysza mojego, i spytałem go prawie błagającym tonem:

— Czy pan sądzisz, że przyroda stanie się natychmiast piękniejszą i milszą, jeżeli jej będziemy powtarzać, że jest bardzo piękną i bardzo miłą? Czy pan sądzisz, że natura jest kokietką paryską?

Myślałem, że moje słowa i mój ton błagający powstrzymają od dalszej rozmowy srogiego entuzjastę. On tymczasem porwał te słowa, jako rękawicę rzuconą sobie, i rospoczął gawędę na temat natury i sztuki. Milczałem zacięcie — każde słowo mego kata było dla mnie nowem uderzeniem obucha; chciałem go jednak zwyciężyć jedyną bronią jaka mi pozostała: cierpliwością i milczeniem. Rozumie się, że nakoniec zwyciężyłem go, ale podobnych zwycięztw chciałbym jak najmniej liczyć w mojem życiu.

Ale tu w tej willi nie mogłem mieć obawy o powtórzenie się podobnej katuszy, obaj bowiem moi towarzysze nie należeli do obrzydłej rasy entuzjastów, i nie silili się wcale na zamianę natychmiastową wrażeń na czcze i utarte ogólniki.

Milczeliśmy więc. Nad nami sterczały już czarne o zmroku cyprysy, a przez czarne ramki ich gałęzi patrzyło ku nam popielate niebo. Przed nami z kamienia wyciosana sadzawka szemrała kilkoma cienkiemi wodotryskami. Zaraz za sadzawką rozciągał się gęsty i cienisty ogród, i otaczał nas zbliska półkołem; jego wązkie zacienione uliczki były już dla nas czarnemi kurytarzami tajemniczo ku nam patrzącemi. Woń kwiatów płynęła ku nam całemi warstwami i otaczała nas czarodziejską atmosferą i odgrywała rolę wschodniego h a c z y s z u. Woń kwiatów, szmer sadzawki, tajemnicze kolory zmroku i ta muzyka powietrzna, która dopiero wtedy staje się dostępną dla ucha, kiedy wszystko milknie dokoła niego... to wszystko złożyło się na jakieś *notturno* czarodziejskie, pół słodkie, pół tęskne, trochę nawet dzikie i w rozdźwięk czasem wpadające, jednem słowem w *notturno*, któreby mogła jedynie wyśpiewać czarodziejska i melancholijna dusza Szopena!

Czy potrzeba aż na Wschód jechać, ażeby doznać podobnych wrażeń?

Ja tego nie wiem. To wiem tylko, że podobnie upajającego *notturno* nigdzie indziej nie słyszałem. Nie raz zdarzało mi się być w pięknej okolicy, lub w równie pięknem zaciszu, nad pięknemi sadzawkami, w posród pięknych kwiatów, gdzie każde źdźbło trawki było pięknie uczesanem i umytem, a jednak wrażenia tam odbierane były bardzo niepodobne do wrażeń mojego *notturno*. Kto chce rozwiązania tej zagadki, to mu tylko powiem, że na Wschodzie ludzie są więcej milczący, a kwiaty są więcej pachnące...

Kiedyśmy się zdobyli na myśl o potrzebie powrotu do miasta, jak się zdaje, w skutek ponownego ukazania się naszego tureckiego gospodarza, jeden z moich towarzyszów, zapytał tego ostatniego, co się należy za przyjęcie.

— Nic się nie należy — odpowiedział Turek z właściwym sobie spokojem. — Przyszedłem panów zapytać: czy czego jeszcze nie zażądają?

Trudno już było dłużej korzystać z tej grzeczności. Udarowawszy więc Turka przy rozstaniu się kilkoma piastrami, zapytaliśmy go: do kogo ta willa należy? Powiedział nam, iż mieszka w niej zwykle jakiś Effendi turecki, jego pan i właściciel willi, który z niej tylko na czas jakiś wyjechał, już nie wiem dokąd.

Zazdroszczę Effendiemu! (D. c. n.)

Z angielskiego.

Jest oko, które nigdy nie zaśnie,
Choć cienie wkręg rozpostarte;
Jest ucho, które wiecznie otwarte,
Choć gwar, jak światło, przygaśnie.

Jest ramie, co się nigdy nie strudzi,
Gdzie sił nie starczy olbrzyma;
Jest miłość, która się nie ostudzi,
Gdzie świat miłości już nie ma.

W Serafów twarze patrzy to oko,
To ucho słyszy ich chóry,
To ramie światy trzyma wysoko,
Ta miłość mieszka u góry.

Lecz taką siłę człowiek ma w duszy,
Gdy ziemska pomoc już na nic,
Że nią to oko, to ramie wzruszy,
Poruszy miłość bez granic,
Słuchającego ucha dosięga: —
W modlitwie taka potęga.

Naśladowanie podług Hejnego.

Gdy zrana poprzed twój domek
Przechodzę, moja maleńka!
Cieszę się, gdy mi wybłyśnie
Twoja twarzyczka z okienka.

Wzrok twój błękitno pogodny
Wnet się w pytania zaciecze:
„Kto ty, i co ciebie boli,
Ty obcy, blady człowiecze?“

Ja jestem polskim poetą,
Śród polskiej znają mię ziemi,
Gdy brzmią najlepsze imiona,
I moje brzmi między niemi.

A co mnie boli, w tem luba,
Wielu mi w Polsce spólniczy;
Gdy liczą najsroższe bole,
I mój tam ból się policzy.

NA RENIE.

Z Hejnego.

Patrzą zamki i gór czoła
W zwierciadlane Renu dno,
Moja łódka mknie wesoła,
Muska złote fali tło.

Ja przeglądam się spokojnie,
Jak faluje w słońcu Ren,
Ciszą myśli wzbudza rojnie
Dawnych uczuć budzi sen.

Tak uroczo wody cieką,
Na dno dziwna wabi moc...
Ale znam cię piękna rzeko!
W twojej głębi śmierć i noc.

Powab z wierzchu, w łonie zguba,
To kochanki obraz mej!
Równie mrugać umie luba,
Równie słodki uśmiech jej. *Adam Pajgert.*

Z pamiętnika.

Kulików.

(Wyjątek.)

Prócz ekonomji dziś przenośnia w modzie;
Ja sam zgrzeszyłem nią w przeszłym opisie
Wieczoru: — jeszcze bowiem na zachodzie
Słoneczko stoi i spać mu nie śni się,
Przy kulikowskim kiedy siedzę miodzie —
A wyż wspomniany wieczór, w swym zarysie
Całym i z owem licem purpurowem,
Zapada później gdzieś za Kulikowem.

Lecz nie zaszkodzi to całości ścisłej
Wspomnienia. Tylko nawrócę z pół mili
Gościńcem przed Kulików i domysły
Wszelkie uprzedzę, wróciwszy do chwili
Kiedy mi z za drzew budynki wytrysły
Bielone... Tu już rym mój się przesili,
Jeśli przed oczy moich czytelników
Roztoczę obraz przepyszny... Kulików!

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . . Jest stacja kochana!
Na którą z taką czekałem tęsknotą,
Że teraz nawet niczem mi to błoto,

Które w miasteczkach naszych demoniczny
Nabiera pozór. — I tu niemniej szczerze
Wezbrał bałwanem grzęzkim nauliczny
Potok, z którego mieszkaniec w parterze
Kąpiel ma ciągłą i basen dziedziczny,
Co z króla Sobka swój początek bierze —
Inteligencja kulikowska szczudeł
Używa, sucho gdy chce wyjść z tych źródeł!

I kiedy oschną nawet strefy snieżne,
Krywań do szczytu suchy i Łomnica:
Tu zawsze ujrzysz te tonie lubieżne,
Które źwierciedlą ślicznie blask księżyca
I nakrapiają lepianki pobrzeżne
Złotem... Coś, niby, co ludzi zachwyca!
Lecz puść się tylko nie będąc wielbłądem
W to złoto! nagle — trzeba płynąć — lądem!

Lecz byłby, sądzę, czas wyciągnąć z błota
Muzę — za uszy... ha, w błocie się tarzać!
Ot zwykle, grubość formy i prostota...
Lecz widzę, już się zaczynam powtarzać?
Chociaż ten zarzut niechaj nikt nie miota
Mej gadce, bowiem nie przyrzekłem stwarzać,
Tylko malować wycieczki obrazy,
A te powtórzyć się mogą sto razy.

Obrazy te są tutaj zestawione
Wszystkie — a chociaż może nie w porządku
Chronologicznym, nawet rozprószone,
O najnędzniejszym jednakże zakątku
Nie przepomniano. Chcąc bardziej skończone
Skreślić wspomnienie, wypadnie do wątku
To dodać chyba, że u wiejskiej dziewki
W Grzędzie, przydrożnej wsi, kupiono śliwki

I gruszki; także wypadnie z osobna
Wymienić wioski: Zboiska, z legendy
Sławne — Malechów — Dublany, wieś drobna
Lecz sławna szkołą rolniczą — dwie Grzędy
I Grzybowice. Każda z tych podobna
Drugiej, jak krople dwie... zwłaszcza z arendy.
Zresztą, tą samą płótnianek białością
Wieśniaczych — i lepianek pochyłością.

Z tej strofy mógłbym zejść, i bardzo łatwo,
Na inny temat — jak kwestja ludowa —
Lecz w innem miejscu już z tą legend dziatwą
Pomówię. Teraz znów do Kulikowa
Powracam, gdzie mię konie ciągną tratwą
Po fali gorszej niźli potopowa —
A z jednej strony skreśliwszy miejscowość,
Zejdę na pełnę miasta opisowość...

Ta sądzę, uda mi się — chociaż w wnętrza
Wchodzić nie myślę; na co, nawet gdyby
Chęć była i to chęć jak najgorętsza,
Pióra brak. — Staw masz z południa, gdzie ryby
Pluskają; nad nim miasteczko się spiętrza,
Odbite całe na przeźrocze szyby —
Postać ma niby amfiteatralną
Z pobudowania, a zaś idealną

Z stylu i w ogóle z architektury;
Styl, panujący powszechnie miasteczkom
Naszym — lecz tutaj swej pełnej natury!
Styl, który wszystkim dziś żywotnym sprzeczkom
Mógłby być godłem. — Miejscowe marmury
Wznoszą budowy, może nieco beczkom
Podobne z światła, bo o jednem oknie —
Z dachem, pod którym w deszcz mieszkaniec moknie.

Idylla w pełni! — Szkoda, że dziś grajka
Niemasz, co umiałby jej wypiać godnie! —
Widok ogólny jest więc jako bajka
Najczystszej rasy, i nie strojna modnie —
Jest jako wapna i gliny mozajka,
Właściwa złotym wiekom, nieodrodnie! —
A już najbardziej odniesie cię w światy
Legend rozliczny, ten twór nierogaty.

Zażywający tu pełnej swobody! —
Nierogacizny istna republika!
Bo obywatel ten nie zna zagrody,
Lecz nawet w miejsca publiczne nos wtyka!
Prerogatywy te, dają powody
Wielkiego mas tych rozwoju; wynika
To także z wielkiej błota obfitości;
Ważny to bowiem czynnik plemienności.

Ale ta kwestja zupełnie należy
Do agronomji, a zatem ją z rymem
Urywam. — Bardzo mi na sercu leży
W tem opisaniu kościół, co olbrzymem
Jest wpośród miasta — nie z wyniosłej wieży,
Ale w stosunku do chat, jak nad Rzymem
Kościół świętego Piotra panujący —
Poniekąd stylem miejscowym trącący,

Zwłaszcza z fasady: — ta ma zarys schodów,
Które są oku, czem krzyżowe stacje
Pobożnej duszy. Snadź nie bez powodów
Wyższych, są takie stylu kombinacje!
Jakoż bez żadnych wielkich korowodów
Na stylu tego zejdziesz skrytą rację:
Po takich życia schodach piąć się trzeba,
By kulikowskim duszom zajść do nieba. (D. c. n.)

Pan Marek.

Obrazek stereotypowy.

II.

Biała róża.

W piękny, pogodny wieczór na *boulevard de Gand* w Paryżu, mnóstwo osób używało przechadzki. Na nizkiej ławeczce pod kasztanami siedziała ubogo, prawie nędznie ubrana młoda, może piętnastoletnia dziewczynka, o twarzy bladej i wynędzniałej. Jasne, gęste sploty włosów spadały w bezładzie na obnażoną szyję, niebieskie oczy spoglądały na przechodniów błagająco, jak gdyby żebrząc litości. W ręku trzymała niewielki koszyczek z kwiatami.

— Mój panie drogi!... kup bukiet fijołków!...

— Panienko!... pani!... kwiatki!... prześliczne róże białe!...

Tak przemawiało zcicha dziewczę do przechodzących. Słońce zaszło i zmrok już zaczynał zapadać, a nikt nie kupił fijołków, ni róży... Mała właścicielka koszyka z kwiatami otarła pełne łez oczy, i wstała z ławki.

Było to jedno z tych nieszczęśliwych dzieci Paryża, które tak genjalnie przedstawił w swej powieści Wiktor Hugo. Ujrzawszy świat boży na nędznem gdzieś śmiecisku, straciła rychło matkę, i w szóstym roku życia musiała już myśleć o własnym chlebie. Kilka lat tych jednak, spędzonych w walce z nędzą, nie starły jeszcze dziewiczego wstydu z białego tego czoła; na bladej, przeciągłej twarzyczce tyle malowało się jeszcze dziecinnej niewinności, tyle prawdy przemawiającej z błękitnych oczu obfitemi łzami, lub uśmiechem figlarnie zakrojonych usteczek, które dziwnie harmonjowały z bladem obliczem i łzawym wzrokiem dziewczyny!...

Patrząc na te oczy, na ten bolesny wyraz twarzy, na te wynędzniałe policzki, myślałbyś, że tam nigdy nie zabłądził uśmiech, że nigdy myśl weselsza nie wypogodziła choćby na chwilę tego bladego czoła; a przecież... gdy wieczorem kwiaty znikły z koszyka, a zarobek dzienny przyniósł kilka *sou*, dziewczę uśmiechając się najswobodniej z za pełnych łez niedawno oczu, z wesołą piosnką na ustach biegło do piekarza. Skromny posiłek wieczorny wynagrodził dzienne troski. Zapomniawszy o łzach i całodziennym głodzie, przespało biedne dziewczę niedługą noc letnią pod drzewami bulwaru, by z wschodem słońca znowu naźbierać pełny kosz kwiatów.

Smutnym jednak był dzień dzisiejszy dla naszej kwiatarki. Wielu przechodziło koło ławki, na której stał koszyk z kwiatami, nikt się jednak nie zbliżył, by rzucić kilka centymów za wiązankę fijołków.

Nieopodal biegało kilku obdartych, wrzaskliwych chłopaków, którzy także sprzedawali kwiaty. Jeden z nich

zbliżył się do naszej znajomej. Był to mały, nędzny chłopczyna, może siedmnastoletni. Wyraz twarzy łagodny i ujmujący przemawiał nędzą, która wyglądała z niej głęboko zapadniętemi policzkami. Odzienie okrywało go zaledwie do połowy.

— Różo — przemówił nieśmiało — tyś nie sprzedała twoich kwiatków, a noc nadchodzi...

Dziewczyna zamiast odpowiedzi otarła pełne łez oczy.

— Mam sześć sou.. — dodał z większą jeszcze nieśmiałością — dla mnie dwa wystarczy...

— Więc i dziś jeszcze chcesz się zemną podzielić?... Nie!... nie wezmę!... — odrzekło dziewczę na przemówienie chłopca.

— Dwa sou wystarczy dla mnie — powtórzył łagodnie chłopczyna — weź cztery dla siebie...

— Nie... nie wezmę...

— Różo... cały dzień nic nie miałaś w ustach... Jam nie głodny... miałem dziś śniadanie...

Dziewczynie łzy stanęły w oczach.

— Poczciwy George!... — szepnęła — tyś zawsze dobry!...

George wyjął cztery sou; a małe jego, czarne oczy błysnęły radośnie.

— Różo!... różyczko kochana... oto cztery sou... Ja mam dwa., pójdziemy razem na objad!... Dobrze różyczko moja?...

— Nie, George... nie wezmę ani centyma... Dziękuję ci dobry, poczciwy George!...

W tej chwili zbliżył się nieznajomy jakiś mężczyzna do ławeczki z kwiatami, i wziąwszy kilka bukietów, sięgnął do kieszeni.

Dziewczę uśmiechnęło się za łez.

— Ile chcesz za bukiet? — zapytał nieznajomy.

— Centyma... — odpowiedziała nieśmiało.

— Centyma?... — powtórzył z uśmiechem nieznajomy, przypatrując się nie bez interesu pięknej twarzyczce dziewczęcia — to za drogo...

— Drogo?... — zapytała zmieszana właścicielka kwiatów.

— O i bardzo nawet!... — powtórzył żartobliwie nieznajomy. — A ktożto ciebie nauczył tak przeceniać swój towar?...

— Kto?... — odpowiedziała coraz bardziej mieszając się. — Ja nie przeceniam. Niechaj pan bierze kwiatki... a dla mnie... dla mnie...

— Panie!... — przerwał jej mały George, zwracając się do nieznajomego — to bardzo uboga dziewczyna!.. nie jadła nic od wczoraj...

Dziewczęciu spłynęły łzy po twarzy. Odwróciła się, ukrywszy oczy w dłoniach.

Nieznajomy zbliżył się do niej, i wziąwszy łagodnie za rękę, zapytał:

— Czy nie masz rodziców?...

— Nie mam...

— Więc sama zarabiasz już na chleb dla siebie?

— A któżby pracował dla mnie?... — odpowiedziała z dziwnym wyrazem twarzy.

— Oddawna?...

— Nie pamiętam. Zdaje mi się, że już dawno, bardzo dawno. Byłam wtedy dzieckiem; a dzisiaj...

— A dzisiaj niem już nie jesteś?

— Dzisiaj?... — powtórzyła z zadziwieniem — George? Myślę panie, żem już bardzo, bardzo stara...

— A jakże się nazywasz moja ty staruszko?...

— Nazywają mnie b i a ł ą r ó ż ą — odpowiedziała — zapewne dlatego, żem taka blada... a może, że białe sprzedaję róże.

Nieznajomy z coraz to większem upodobaniem wpatrywał się w jej niebieskie oczy. Pogłaskał dłonią po bladej twarzyczce, i wskazawszy na jedną z najbliższych kamienic, rzekł:

— Czy widzisz... w tej kamienicy mieszkam na drugiem piętrze, nr. 9ty.. Gdy ci zabraknie na chleb lub odzienie, to przyjdź... dostaniesz wsparcie...

— Dostanę wsparcie?... — zapytała dziwnym głosem dziewczyna.

— Tak, biedne dziecko — powtórzył nieznajomy.

— Wsparcie?!... — powtórzyła Róża, a głos jej drżał dziwnie — Jestem wprawdzie bardzo biedna... alem nigdy nie żebrała... Sprzedaję kwiatki, i żyję... Matka Boża pamięta o mnie...

— Więc przynieś kwiatki... ja kupię... A trzeba mi ich wiele... — dodał — bardzo wiele! Tymczasem biorę pięć bukietów... masz za nie pięcio-frankówkę... a jutro miej więcej na sprzedaż...

Dziewczyna wypatrzyła się na kupującego, i oczom swoim wierzyć nie chciała. Dotychczas nie widziała jeszcze pięcio-frankówki... Ale nieznajomy był już na rogu ulicy. Zdaleka jeszcze kiwnął ręką i zawołał:

— Do widzenia się, biała różyczko!...

»Biała róża« uśmiechnęła się radośnie... W jednej chwili znikły łzy z oczu, a blada twarzyczka zajaśniała wesoło. W żwawych pląsach pobiegła od swojej ławeczki z przewieszonym przez ramię koszykiem. Wiatr igrał z złotemi jej włosami, które w nieładzie spadały na ramiona. Już znikła w tłumie przechodniów, wesoło śpiewając ulubioną piosenkę Beranger'a:

Mon Dieu, vous m'avez bien doté,
Je n'ai ni force, ni sagesse,
Mais je possède une gaîté
Qui n'offense point la tristesse...

Smutny, z założonemi na piersi rękami, stał George przed ławeczką na której był koszyk dziewczęcia. Myślał o białej róży i o nieznajomym.

— Nie dobra!... nie dobra Róża... — szepnął — wzięła pięcio-frankówkę, a odemnie nie chciała czterech sou przyjąć!... niedobra Róża!...

Otarł wilgotne oczy podartym rękawem.

— Boże! czemuż ja taki biedny!... nie miałem tylko cztery sou dla niej!... (C. d. n)

To i owo.

(*Wiosna na świecie — zima we Lwowie. Cud. Pisma literackie. Brak krytyki i wystąpienie pana Baranowskiego. Kwestja żydowska. Germanizacja i Gwiazdka Cieszyńska. Stagnacja w handlu księgarskim. Scena polska i benefisa jej artystów. Antoni Jurjewicz.*)

Chociaż by mię nazwać miano „ptakiem, kalającym własne gniazdo" zacznę od narzekania na Lwów pomimo, że jest stolicą, ma Radę miejską, gazowe oświetlenie i teatr niemiecki... a głównie z powodu smutnego przywileju jaki posiada: zatrzymywania w swych murach tęgiej zimy, wbrew kalendarzom, skowronkom i gorącym naszym życzeniom... W Krakowie wiosna od miesiąca, w Gródku od dwóch tygodni, a Lwów w Kwietniu ma zawieje śniegowe, jakich gdzieindziej nie znają w Grudniu, wichry i nieposlednie mrozy... a parę dni zaledwie temu, jak lawina śniegu upadłszy z kościoła katedralnego złamała żelazną kratę, obaliła posąg i — nie tknęła przekupnia z obrazami... Czy o czemś podobnem śniło się kiedy naszym filozofom?... Albo o tem naprzykład, że we Lwowie mamy pięć pism literackich, a rozporządzalne siły takie, że zaledwie wystarczyłyby do starannej redakcji jednego pisma, a w kraju czylelników tyle, że tylko z biedą mogłoby utrzymać się to j e d y n e pismo?... O tem i o wielu innych rzeczach z pewnością nie marzyli nasi filozofowie i niefilozofowie.

Narzekamy na obojętność ogółu dla literatury. Obojętność ta zaprzeczyć się nie da. Ale z drugiej strony, coż robimy, by ją zwalczyć? Nic... Ah, prawda! jest już Towarzystwo naukowo-literackie. Czekajmy na owoce jego działań!... A tymczasem ze smutkiem widzimy rozstrzelenie sił, niewłaściwe ich zużytkowanie, nie znamy poważnej pracy, zbywa nam na wielu przymiotach... Trudno uwierzyć, a przecież tak jest, że wcale nie mamy krytyki. Bez tej pochodni, błąkamy się w labiryncie zamętu, z własną szkodą, a ku uciesze sąsiadów, śmiejących się z naszej bezsilności. Śmiech i litość zbiera na widok walki pism, wyrzucających sobie nieudolność krytyczną przeciwnika. Ofiarą padł autor komedji *Za naszych czasów*, zmasakrowany przez niekrytyczne pióro pana Baranowskiego, któremu dość było przypomnieć pewną w y s o c e o r y g i n a l n ą komedję dramatyczną, by nie podnosić głosu w imieniu krytyki w piśmie, które ten utwor wychwaliło nie mniej przesadnie, jak „Dziennik Lwowski" swego autora!... Zresztą podobne okadzania swych bożków u nas, są rzeczą tak powszednią, że najwłaściwiej zbywać je milczeniem...

Mówmy raczej o kwestji żydowskiej, która z dniem każdym żywszy obudza interes, szczególnie w obec możliwości ślubów cywilnych, a więc krewnienia się z żydami. Wiecie co nam grozi? Oto nie mniej ani więcej tylko, że ominie nas zaszczyt zaliczania Izraelitów do członków naszej familji, i to dla tego tylko, że n a z a s z c z y t t e n n i e z a s ł u g u j e m y!...

— Wychowujcie swe córki — mówił pewien izraelita w towarzystwie — staranniej, dajcie im wychowanie inne, a wtedy będziemy je brać za żony...

To nie żart, ale prawda szczera, i bądź jakbądź charakteryzująca położenie rzeczy — Żydzi nam imponują... że kieszenią o to mniejsza! ale strzeżmy się, by nie zaimponowali rozumem!... Wychowujmy nasze córki staranniej, kształćmy je bardziej obywatelsko! Przyda się nam to zawsze, chociaż je nie porobimy żonami żydów.

Jeżeli kwestja żydowska ważną jest dla nas, nie mniej znaczącą również jest germanizacja. Sądziliśmy, że teatr niemiecki zostanie zwiniętym, a nie tylko, że o tem niemasz mowy, ale z nowym jego dyrektorem, przybywa nam nowa siła germanizacyjna, bo redaktor dwóch pism niemieckich, mających wychodzić we Lwowie: teatralnego i politycznego (?). Ale oto mniejsza... Bardziej groźnym jest napór germanizmu w innych częściach kraju. Byt „Gwiazdki Cieszyńskiej" jest zagrożonym, tego szermierza w obronie nieprzedawnionych praw naszej jedności plemiennej! Niemcy, którym „Gwiadka" tak wytrwale łamie szyki germanizacyjne, postanowili zniszczyć silnego przeciwnika: zakładają nowe pismo na Szlązku, drukowane czcionkami niemieckiemi i mające pisać w duchu niemieckim, by germanizować Słowian. Walka zaczyna przybierać groźną postawę. My obojętnymi widzami jej być nie powinniśmy. Wiemy czem była, czem jest dla nas „Gwiazdka" na jej istnieniu zależy nam bardzo... Wesprzyjmy ją wszystkiemi siłami, usilmy, rozszerzmy nawet zakres jej działania licznem przystąpieniem do przedpłaty, która zaledwie 4 złr. rocznie wynosi.

Nie wielką tę kwotę niechaj każdy z nas uważa za datek wysoko patrjotyczny, jakim też jest w istocie, bo od udziału naszego zależy pomyślny wzrost, lub upadek interesów narodowych.

W tej chwili dowiadujemy się, że w Warszawie, z powodu stagnacji w handlu księgarskim, cztery księgarnie zwijają swe firmy. W prostym następstwie miejsce ich powinno zająć u nas cztery nowe przedsiębiorstwa. Ale niestety! Chociaż porządek rzeczy każe nam objąć przodownictwo w narodzie, srogo gdzieindziej uciśnionym — sił po temu nie mamy, a może i na woli nam zbywa... Wprawdzie liczne Stowarzyszenia zdają się wróżyć lepszą przyszłość... Szczęść Boże! „Kto ma nadzieję — ma wiele!" I my jej nie traćmy!...

Wracając do rzeczy miejscowych, mimowoli dotknąć musimy sceny — tej biednej sceny, nad której upadkiem dość boleć nie można!... Oto od miesiąca nie widzimy na niej nic, jak tylko f a b r y k a t y s p e k u l a c y j n e... Że niemi karmi nas dyrekcja, z tem już jesteśmy oswojeni; ale nie przypuszczaliśmy, by artyści i to pierwszorzędni, na swe benefisa nie dali nam rzeczy, mogących być pokarmem dla ducha. Zasłużona też kara spotkała niemal każdego z beneficjantów, a pana Królikowskiego szczególniej — publiczność nie dała się złowić na lep, i nie przyszła do teatru... Będzie to na przyszłość otyle dobrą nauką, o ile smutną jest pewność, że i w artystach naszych zaciera się już poczucie obowiązku wprowadzania na scenę rzeczy treści.

Korespondent nasz z Paryża donosi o śmierci A n t o n i e g o J u r j e w i c z a. Był to jeden z głównych organizatorów powstania na Ukrainie, osobistość wielce wpływowa pomiędzy młodzieżą kijowskiego uniwersytetu. Jako dowódzca nielicznego oddziału, w pamiętnej Sołowjówce, własną krwią dał świadectwo prawości wyznawanych zasad. Wzięty do niewoli miał być powieszonym przez moskalów w Kijowie, udało mu się jednak sposobem prawdziwie cudownym ujść szubienicy. Okryty ranami, długiem osłabiony więzieniem, zmarł na gościnnej ziemi Francji. Pamięć jego przechowa się w narodzie, któremu, na swem stanowisku, dobrze się zasłużył. Cześć jego popiołom!

Korespondencje.

Paryż, *20. marca 1868.*

(Dokończenie.)

Nowy budynek dla Opery należał się Paryżowi, bo dotąd wszystkie pięć tutejszych oper mieszczą się w ciasnych murach. Chciałbym coś napisać o operach tutejszych, ale nie mogę... Włoska opera wcale mi się nie podoba, a włoska opera paryzka tak sławna!... Powiecie, że się nie znam na muzyce i śpiewach! Wszystko więc, cobym o tym przedmiocie napisał byłoby daremne. I o teatrach pisać nie mogę z innej już przyczyny; nie wszystkie znam, a przytem mam jakiś dziwny gust! Oto naprzykład gdyby mi przyszło porównać Odeon z teatrem Wileńskim, o Warszawskim już nie mówię — jakoś blado wygląda Odeon przy Wilnie!... Albo Chatelet, tobym pod względem gry zmuszony był postawić na równi albo niżej od krakowskiego, bo co się tycze dekoracyj te są cudowne, i dorównywują petersburskim i moskiewskim, a w Paryżu zajmują pierwsze miejsce. Co zaś do rodzaju sztuk przedstawianych, to gdyby je gdzieś naprzykład na jarmarku u nas (na co bym nie pozwolił) przedstawiono, chłop by popatrzył, splunął i drugi raz nie powrócił!... Ale to już nasz gust taki. Francuzi jednak lubią tego rodzaju sztuki, gdzie żadnej myśli nie ma, a cała rzecz polega na kostiumach jak najwięcej pstrokatych: czerwono-zielono-żółto-błękitnych, a takich jaskrawych, że aż się ćmi w oczach, i na płaskich dowcipach. Teatr Chatelet zawsze pełny. Czasami grywają i tam sztuki lepsze; przynajmniej takie, że myśl jakąś mają. Teatr ten ma największą scenę ze wszystkich tutejszych teatrów, i tak urządzony, że mieści do 7miu tysięcy widzów, chociaż powierzchownie nie zdaje się być tak obszernym. Zato, tak w tym jak i we wszystkich innych teatrach, ciemno, duszno i oprócz sceny nic nie widać dla większej połowy publiczności; często jest jakaś dziura przez którą się patrzy, zwłaszcza w górnych sferach gdzie znowu tak duszno, że się rozbierają do koszuli. Rozumie się wyjątek stanowi włoska opera, gdzie trzeba być ubranym we frak i cylinder, a kobietom w balowy strój, z wyjątkiem galerji. Nie ręczę że to zawsze tak, ale ja tylko tak widziałem. Teatra tutejsze otrzymują nazwy *Imperial;* już dziś prawie połowa została ozdobiona tą dekoracją—postęp widoczny!...

W wielkiej operze przedstawiają *Hamleta*, w operze Lirique *Doktor mimowoli* Moliera. Przerabiania, łataniny rozmaitego rodzaju W Chatelet świeżo przedstawiony dramat *Mściciel*, rzecz z czasów rewolucji pierwszej — jedna z lepszych sztuk, przedstawianych w tym teatrze. Jest tu zwyczaj, że po wprowadzeniu jakiej sztuki na scenę, dopiero za pół roku, a czasem i za rok zaledwie można się spodziewać zmiany. Obecnie komedja Dumasa *Kean* jest codziennie przedstawianą w dwóch teatrach Odeonie i Dejazet.

Przyszłym razem parę słów powiemy o pierwszorzędnych teatrach francuzkich. W *comedie française* przedstawiają w tych dniach *Hamleta.*

A co myślicie o nas pod tym względem, to jest pod względem sztuki? I my zawiązaliśmy Towarzystwo wokalno-muzyczne polskie, i to na serjo! Z tem niema co żartować: już sto osób zapisało się, drugie tyle ma przystąpić do Towarzystwa, i niejeden może zostać chlubą kraju. Zawiązał się tymczasowy komitet, którego kasjerem jest ksiądz Cent.

Dyrektorem jest p. Kampański, artysta tutejszej opery lirycznej. Znakomity Sowiński i w ogóle cały świat muzykalny i śpiewny polski przyjdą Towarzystwu z pomocą. Skoro się Stowarzyszenie rozwinie, potrafi doskonale się utrzymać; ale w początkach zdaje się zawadzi o finanse... My Polacy należymy do najmuzykalniejszych ludów Europy, tylko że zaniedbywaliśmy się bardzo i pozostaliśmy za innemi. Myśl Stowarzyszenia polskiego w Paryżu wzbudziła pośród nas powszechny aplauz zwłaszcza, iż to dla nas i ze względów politycznych potrzebne. Dotąd nie mogliśmy uroczyście obchodzić świąt narodowych. Ani kościół, ani restauracja nie są odpowiedniem miejscem; a chociaż jedno i drugie dobre, nie obejmowało emigracji wszechstronnie. W kościele był tylko obchód katolicki. Manifestacja taka przed cudzoziemcami nie jest korzystną, bo oni nam wyrzucają, żeśmy katolicy nie toleranci, że mamy więcej prawosławnych jak katolików, dużo żydów i innych wyznań, a dozwalamy katolicyzmowi panować. Tem bardziej obiad wspólny nie był wystarczającym obchodem, bo zaledwie paręset osób mogło przyjąć w niem udział. Dopiero muzyka i śpiew zajmą pośrednie miejsce i uświęcą obchód. Toż i na pogrzebach znakomitych zasłużonych krajowi ludzi potrzebne są śpiew i muzyka.

Dnia 15. marca umarł w Paryżu Antoni Jurjewicz, jedna z najwybitniejszych osobistości młodzieży kijowskiego Uniwersytetu, powstaniec. Umarł w skutek ran odniesionych w powstaniu pod Sołowjówką. W czasie jego choroby emigracja zaszczyciła go swoim zaufaniem i postawiła na kandydaturze do Komitetu Zjednoczenia. Obecnie przy ostatecznych wyborach byłby wybrany, gdyby śmierć nie porwała go wcześniej. Wieku lat około trzydziestu.

Obchód stuletniej rocznicy konfederacji Barskiej oprócz innych rzeczy został uświęcony wydaniem przez księgarnię Mickiewicza dokumentów dyplomatycznych z czasów konfederacji Barskiej, i jej dotyczących. Jest to przedruk dzieła wydanego zaraz po konfederacji Barskiej, a zupełnie wyczerpanego. *A. D.*

Rozmaitości.

* Cyrk p. Hütteman przeznaczył połowę dochodu z przedstawienia pożegnalnego we Lwowie, na rzecz fundacji K. Szajnochy. Dyrekcja teatru polskiego częstuje nas przedstawieniami w jej guście i z wyboru beneficjantów... Pomiędzy szesnastu odsłonowemi dramatami o wielu a wielu tytułach, któremi karmi nas teatr p. Miłaszewskiego, znajduje się ze wszechmiar oryginalny utwor p. Pokrzywki p. t. *Dwa śluby*, o którym nic więcej powiedzieć nie możemy...

* We Lwowie zawiązuje się jednocześnie Towarzystwo demokratyczne i Przyjaciół jazdy konnej. Redaktor „Dziennika Lwowskiego“ jest członkiem założycielem obu Towarzystw.

* P. Martius, czeski badacz starożytności, znalazł w okolicy Kadani w Czechach, przy kopaniu w ziemi do głębokości 4 sążni, kości zwierząt przedpotopowych, oraz z kościami ludzkiemi. W oddaleniu o 4 sążnie zaś odkrył rodzaj grobowiska ludzkiego z epoki kamiennej.

* Do Ameryki w roku 1867 wyszło z Astrji przez Bremę 15.203 ludzi; między tymi było 13.000 Czechów i Morawian.

* Szkoła gówna Warszawska w swoich czterech Wydziałach: prawa i administracji, lekarskim, filologiczno-historycznym i matematyczno-fizycznym liczy: 31 profesorów zwyczajnych, 14 nadzwyczajnych, 12 adjunktów, 6 lektorów, 8 docentów i 4 tymczasowych.

Uczniów liczy szkoła przeszło półtora tysiąca. W roku bieżącym wielu nie mogło wstąpić do szkoły, już to dla wygórowanego czesnego, które ustanowili moskale, już też dla nieznajomości języka moskiewskiego.

* Rząd włoski wysyła swym kosztem okręt „Klotylda" w podróż na około świata, która ma trwać półtora roku. Podróż ta ma na celu zbadanie dokładne pobrzeży Azji i Afryki, i otworzenie nowych dróg dla handlu włoskiego.

* W Chinach w mieście Oczang wyleciały w powietrze prochownie, w których znajdowało się przeszło 3000 centnarów prochu. 700 ludzi znalazło śmierć natychmiastową, o wiele więcej jest ranionych.

* Dzienniki konstantynopolskie sławią śpiewaczkę tameczną p. Teodozję Friderici, (polkę p. Jakowicką). Jest obyczaj, że gdy sułtan znajduje się w teatrze, nie wolno spuszczać zasłony, ale aktorowie wciąż muszą być na scenie. Otóż razu pewnego sułtan, który jest wielkim wielbicielem talentu p. Jakowickiej, przybywszy o godzinie 9 do loży, pozostał aż do trzeciej, a biedni śpiewacy akt po akcie, operę po operze śpiewać musieli.

* W Anglji katolicyzm coraz więcej się rozszerza. W jednej tylko dyecezji Westminsterskiej w zeszłym roku przeszło na wiarę katolicką 2000 osób. W lutym b. r. zaś przeszli do katolicyzmu jeden biskup i dwóch wikarjuszów wyznania anglikańskiego.

* Według najdokładniejszych obliczeń, długość telegraficznych drutów wszystkich państw wynosi 35.620 mil geograficznych. Drutem tej długości dałaby się obwieść kula ziemska tuż pod równikiem 6½ raza.

* W Paryżu wychodzi obecnie 537 pism perjodycznych, nie mających działu politycznego. Najwięcej jest dzienników treści religijnej, mianowicie 65. Liczba pism literackich wynosi 64, przemysłowych i handlowych 59, lekarskich 48, poświęconych modom 43, naukowych 41, prawnych 33, poświęconych sztukom pięknym 32, ilustrowanych 27, poświęconych wychowaniu młodzieży 24, rolniczych 18, teatralnych 15, finansowych 9; oprócz tego wychodzi jeszcze 59 pism rozmaitej treści.

* W roku 1867 było w Paryżu 700 wypadków samobójstwa. W liczbie samobójców płci męzkiej było 418 bezżennych, 79 żonatych, 22 wdowców i 70 takich ludzi, położenie których pod względem familijnym nie jest znane; w liczbie samobójców płci żeńskiej było 39 niezamężnych, 38 mężatek, 24 wdowy i trzy kobiety, których położenie familijne nie jest znane. Siedmiu samobójców miało mniej niż 16 lat wieku. W kwietniu wydarzyła się największa liczba samobójstw, mianowicie 92; w tej liczbie było 64 mężczyzn bezżennych; w listopadzie najmniejsza liczba samobójstw — 38. Obok tego w roku 1867 było 215 usiłowań samobójstwa, które nie powiodły się. Wypadków nieszczęśliwych w Paryżu i jego okolicach było w roku 3934, w tej liczbie 790 wypadków spowodowało śmierć. Konie stratowały na ulicach 1488 ludzi, z których 108 utraciło życie, Kalekami zostało w skutek nieszczęśliwych wypadków 1673 osób.

* W roku ubiegłym wydano w Niemczech dzieł filozoficznych 85. teologicznych zaś 1365. Polityka, prawoznawstwo i statystyka wywołały pism 920, medycyna i weterynarja 493; nauki przyrodzone wraz z chemją i farmacją 575; pedagogika, książki elementarne, gimnastyka 932; dla młodego wieku wydano książek 228; języki umarłe i wschodnie oraz mitologja opracowane były w 470 nowo wydanych dziełach; nowe języki i staroniemiecki w 320; dzieje, biografja, pamiętniki w 648, geografja w 249, nauki wojskowe w 272, handlowość i rzemieślniczość w 330, budownictwo. drogi żelazne, maszyny w 168, leśnictwo w 88, gospodarstwo rolne w 245, piękna literatura w 852, sztuki piękne i stenografja w 397. Atlasów i luźnych kart geograficznych 234 numerów.

* Anglja na opłacenie prowizji od długu swego potrzebuje rocznie 653,500.000 lirów, czyli 30,40 prct. dochodów rocznych — Francja 564,591.388 lirów, czyli 34,61 prct.; — Austrja 467,979.936 lirów, czyli 39,39; — Włochy 360,984.595 lirów, czyli 48,72; — Moskwa 274,346.736 lirów, czyli 19,61; — Hiszpanja 102,864.218 lirów, czyli 17,42; — Prusy 61,234.687 lirów, czyli 7,75; — Bawarja 28,739,517 lirów, czyli 29,14 prct. dochodów państwa. — Co do wydatków na wojsko, to Anglja wydaje rocznie na jednego żołnierza 2364 lirów, Hiszpanja 1031 lirów, Francja 884 lirów, Prusy 684 lirów, Austrja 668 lirów, Włochy 678 lirów, Moskwa 519 lirów.

* J. L. Kober w Pradze zasłużony wydawca książek czeskich, ogłosił wydawnictwo Biblioteki narodowej czeskiej, mającej zawierać w sobie wszystkie znaczniejsze dzieła literatury czeskiej. Dla czegoż pomiędzy nami nie ma podobnych Kobrów!... Nasi księgarze nie zrozumieli swego powołania; zyski tylko mając na celu, ograniczają się na handel kramarski książkami, o nakładach jednak nie myślą... Na cóż czekają? Czy z nieba spaść ma ten, który się weźmie do rzeczy?... Ale w takim razie, czem są dla nas księgarnie i księgarze? Sprzedać książkę potrafi każden. Dać ją, znaleźć dla niej czytelnika — to zadanie księgarstwa.

* W Bombay, w środku miasta, jest obszerny szpital — zwierzęcy. Bydło wszelkiego rodzaju, konie, psy, jelenie i t. d. w chorobie znajdują tu troskliwą opiekę ludzi i pomoc wszelką... Piękna rzecz! szkoda tylko, że ludzie w tem samem mieście o ludziach nie myślą wcale.

* Na wyspie San Lazaro w pobliżu Wenecji, przypadkowo znaleziono w klasztorze mnichów ormiańskich pęk listów lorda Bajrona, któren dłuższy czas przebywał pomiędzy zakonnikami, studjując języki wschodnie.

* Chcąc odcięte kwiaty długo mieć świeżemi radzą angielskie dzienniki przy każdorazowem zmienianiu wody dodawać do takowej nieco saletry. Tym sposobem można kwiaty do 14 dni świeżo utrzymać.

* Na wystawie paryzkiej znajdował się kobierzec do okrywania nóg, ładnie zabarwiony i elastyczny; wielu nie mogło poznać, z czego był zrobiony, a jednak nie był niczem, jak gęstą tkaniną z chorągiewek odartych z piór gęsich i zabarwionych farbami anilinowemi.

* W teatrze Palais Royal ma być przedstawioną nowa opera Offenbacha p. t. *Zamek Toto.*

* Rada szkolna galicyjska obwieszczeniem z dnia 7. marca ustanawia: że przy zakładaniu nowych szkół najmniejszą płacą nauczyciela wiejskiego ma być 200 złr. wliczając w to wartość naturaljów. Prócz tego ma być wyznaczonych 10 złr. na szkolne wydatki, 12 złr. na stróża, a przy szkole powinien być ogród, w przybliżeniu około morga obszaru. Gmina powinna się zajmować ściąganiem kwot i naturaljów stanowiących płacę nauczyciela. Szkoła jako zakład gminny podlega władzom autonomicznym.

* Za dobrych owych czasów w Moskwie, kiedy Piotr I. knutami pędził kobiety na dworskie bale, by się cywilizowały, nie znano jeszcze gorsetów i sznurówek wszelkiego rodzaju. Nie wiedział o nich sam reformator światowładnego cesarstwa; gdy bowiem podróżując po krajach zachodnich tańczył raz na balu z niemkami, zadziwiła go sztywność kobiet i twardość ich stanów. W najlepszej więc wierze rzekł do jednego ze swych dworzan: „Te niemki mają djablo twarde kości!..."

(**Mody**) Opis ryciny.

Postać pierwsza. Ubranie do wyjścia na ulicę pełne dystynkcji. Suknia jedwabna gładka i powłóczysta z ogonem. Okładanie wierzchniej części narzutki przedstawiają pelerynę z dwoma wielkiemi patkami zwieszającemi się z tyłu. U dołu przestronna, a okładanie jedwabne tak zastosowane, że zdaje się formować nową część stroju. Kapelusz djadem z kwiatami na boku, i mały welonik z przewieszeniem z tyłu.

Postać druga. Ubranie do wyjścia dla młodej osoby. Suknia z popeliny fijołkowej półjasnej. Pierwsza spodnica z atłasowemi rulonikami oznaczającemi deseń, z szuelkami pomiędzy oznaczeniem deseniu, na części przedstawiającej spodnicę. Druga spodnica obłożona wyłogami, spięta ukośnie, jest krótką z przodu, a z tyłu długą. Stanik spięty, i obszyty aksamitnemi wyłogami przedstawia kurtkę żuawską. Plecionka z jedwabnych sznelek z bombelkami koloru oliwkowego, przyszyta na staniku tym sposobem, że przykrywa całą baskinę. We włosach zfalowanych, przepaska z fontaziem.

(*Z magazynu mód Władysława Lewickiego.*)

☞ Dodatek: **Kolorowana rycina mód.** ☜

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller.

Druk Kornela Pillera.